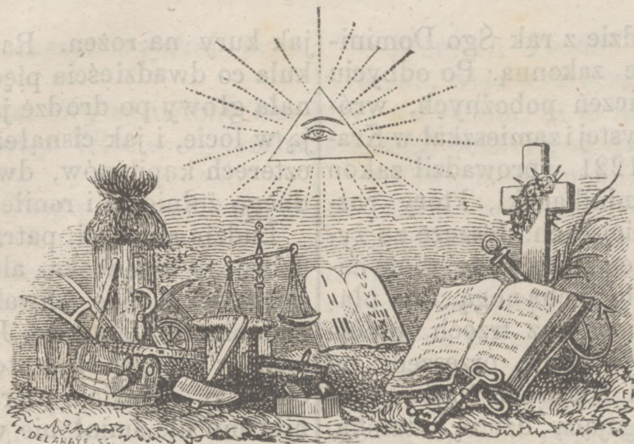
№ 6.

WARSZAWA.

8 Lutego

1863.



REDAKCYA

CZYTELNI

przy ulicy Chmielnéj

Nr. 1257.

„Raczéj zbraknie biednych, aniżeli chleba, jeżeli wszyscy wiernie pełnić będziecie obowiązki wasze.“ (Ś. Wincenty à Paulo).

CZYTELNIA NIEDZIELNA.

TREŚĆ: Święty Jacek.— Strach w lamusie.— Wycieczka do Górnego Szląska (dokończenie).— Jak się Wojciech Mucha pozbył ciężkiej biedy (wiersz.)

Święty Jacek.

—

Już nieraz słyszeliście od nas, że Polska, była ziemią obfitą w mężów bogobojnych i niewiasty cnotliwe. Gdy o wiośnie patrzycie na to niebo nasze, co je Twórca Najwyższy w takie piękne maluje obłoki,— lub gdy spojrzycie na nie o porze jesiennej, kiedy jest szare i zasępione, wtedy— pomyślcie, że tam wysoko, po za temi różowemi lub sinemi obłokami, przy tronie Boga, modli się za nas potężny zastęp mnóstwa naszych świętych rodaków. Ta myśl niech zagrzewa w nas ziębniętą wiarę, niech zachęca do pobożności i cnoty. Bóg jest wszędzie, oko Jego spoczywa na nas o każdéj porze, bo On tylko jest prawdziwie potężnym i wszechmocnym. Módlmy się więc do Niego tak szczerze i gorąco, jak to nam zaleca nasza święta wiara; módlmy się z taką ufnością, z jaką zanosili swe do niego błagania polscy praojcowie nasi.

O jednym z tych świętych rodaków, dziś wam udzielamy wiadomość. Święty Jacek pochodzący z szlacheckiej familii Odrowążów, urodził się we wsi Kamieniu na Szląszku. Od najmłodszych lat oddany w naukę, ukończył ją w kwiecie wieku chwalebnie, osiągnąwszy znakomite wiadomości w teologii, i prawie już w poranku życia swego okazywał że pragnie być miły Bogu i ludziom. Jakkolwiek pochodził z rodu zamożnego, to przecież nie gardził ubogimi, nie przechwalał się z szlachectwa, nie puszył się i nienadymał, że jego ojciec Eustachijusz był hrabią na Końskich, bo Jacek pojmował dobrze tę prawdę religii i życia, że wszyscy jesteśmy dziećmi jednego ojca, że rodzimy się i umieramy jednakowo, że jesteśmy dla siebie braćmi, co się kochać powinni, że majątek rzecz nabyta a urodzenie przypadkowa,— że lepsza jest dusza szlachetna od szlachectwa, a poczciwe imie u bliźnich droższe nad marne tytuły. Mając takie zasady, kochał Jacek wszystkich bez różnicy, nie czcze fraszki,— ale jedynie ceniąc w ludziach cnotę, zasługę i naukę. Poświęciwszy się stanowi duchownemu, został kanonikiem krakowskim, po czem wkrótce

udał się do Rzymu, gdzie z rąk Śgo Dominika przywdział suknie zakonną. Po odbyciu wielu umartwień i ćwiczeń pobożnych, wrócił Jacek do ziemi ojczystej i zamieszkał w Krakowie, gdzie roku 1221 wprowadził zakon kaznodziejski czyli dominikański, który rozkrzewił i po innych miejscach. Jeszcze za życia swojego zasłynął ten sługa Boży wielu cudami: przechodził Wisłę suchą nogą, i na płaszczu własnym przewiózł raz trzech współzakonników swoich. Podobnie przeszedł po Dnieprze, unosząc pod Kijowem Najświętszy Sakrament przed ścigającą dziczą tatarską. Wreszcie, po 40tu latach w zakonie najpobożniej z chwałą Bożą i pożytkiem dusz ludzkich spędzonych, po dokonaniu wielu nawróceń i pracach kaznodziejskich, przepowiedziawszy dzień swojej śmierci, zasnął w Bogu roku 1257go, w uroczystość Wniebowzięcia Najświętszej Marji Panny. Zgon Jacka był chwałą cnotliwego, bo towarzyszyły mu zasługi położone dla wiary świętej i dobra ziomków,— towarzyszyła czystość serca i spokojność sumienia. Śmierć i grób niestrwożyły sprawiedliwego, który przed oddaniem Panu nieskażonego ducha, wyrzekł z niewypowiedzianą rozkoszą i pokorą: „w ręce Twoje o słodki Jezu, polecam ducha mojego.“

Wielkie cuda, jakiemi zajaśniał ten święty kapłan, spowodowały, iż papież Klemens VIII (ósmy) kanonizował go w r. 1594. Odtąd kościół powszechny obchodzi uroczystość Śgo Jacka wyznawcy, w pierwszą niedzielę po Wniebowzięciu Panny Marji.— Wreszcie, dla uzupełnienia wiadomości dodajemy i to, że Śty Jacek był rodzonym bratem błogosławionego Czesława Odrowąża, również dominikana, zmarłego we Wrocławiu 1242go roku.

Strach w lamusie.

W Lipowej Woli był urlopnik Teodor. Udawał on wielkiego zucha i chwalił się z tego co nie było. Nauczył się doskonale kłamać, a potém wygadywał dobrym ludziom niestworzone rzeczy, a oni mu wierzyli.

—Wostatniej wojnie, mówił on, jak pchnąłem bagnetem, to aż czterech nieprzyjaciół odrazu na wylot przebiłem, i zasadziłem ich jak kury na rożen. Raz znowuż, gdy leciała kula co dwadzieścia pięć funtów ważyła i ścinała głowy po drodze jak makówki, złapałem ją w locie, i jak cisnąłem, to zabiłem, tą kulą czterech kapitanów, dwóch poruczników, jednego żołnierza i raniłem jenerała.

Ludzie słuchali, patrzeli się na niego jak na dziwnego człowieka, ale nie każdy domyślał się, że te próżne chwalenia, że te wszystkie gadania, to kłamstwo. Jak zaczął gadać o krajach, w których był, to nie jeden myślał, że on bajki o jakich czarach rozpowiadał, ale nikt mu nie śmiał nie wierzyć, widząc że taki odważny i tak się przysięga.

Raz wieczorem opowiadał, że tam gdzieś w jakimś mieście nie polskiem, są domy całe szklanne, winogrona, dynie słodziutkie, i gruszki, śliwki to tak rosną, że aby gdzie bądź posiać, choćby na kamieniu, to na drugi dzień są już owoce dojrzałe, do jedzenia zdatne.

—Pewno, odezwał się przekpiwając Franek owczarek, cygan co był w tem kraju, mówił, że jak się chłop położy na jednem miejscu, a je owoce i pestki wypluwa, to na drugi dzień tyle owocu koło niego rośnie, że tylko usta otworzy szeroko, a tu mu buch albo gruszka w zęby, albo dynia słodziutka w nos, albo śliwka w ucho. Nawet gołębie pieczone, same lecą w usta, a takie tłuściutkie! A i wódkę tutaj w Polsce to mierzy karczmarz półkwaterkiem, a ręka niby mu się trzęsie, że zawsze coś na podstawkę odleje i potém innym te zlewki sprzedaje. Tam gdzie był Teodor, mówił Franek, to wódki strumienie płyną, młyny się na nich obracają, tartaki trą drzewo, i berlinki po rzekach wódczannych pływają. Inaczej być nie może, widzicie, bo gdzie tyle owoców jedzą i takie tłuste gołębie ludzie zjadają, to musi być i dużo wódki, boby niezdrowo było.

Rozśmiali się ludzie na ten koncept. Teodor się zaś rozgniewał, i klął duszę i ciało że tak było. Jeden wierzył trochę, inny kiwał głową na takie oczywiste kłamstwa i przechwałki. Aż tu wpada do izby Kubuś Maliniak, wytrzeszczone miał oczy, ledwie mógł oddychać, tak biegł prędko, włosy wyraźnie stały mu na głowie.

—Co ci to? zawołało kilku razem.

—W la... la... la... la... musie okrop... krop...

krop... nie stra... a... a... aszy, wyjąkał przestraszony Maliniak.

—Co? straszy? zawołał niby zdziwiony Teodor porwawszy się z ławy. Wiecie co trzeba robić?

—A no, przestraszyć tego stracha, odpowiedział Franek owczarek.

—Mądryś, akurat wdawać się w te rzeczy gadał Teodor, rozmachując rękami. A to tak trzeba zrobić: nie będziemy chodzić koło lamusa, tylko tędy na prawo, koło wiatraka, a potem na lewo koło księżej stodoły....

—Nie bajcie, nie bajcie Teodorze, zawołał Franek. Tacyście to żołnierz, że się strachu boicie.

—Ja? miałbym się bać? ja co po sześciu na raz zabijałem, to się teraz djabła nie ulęknę.

—A no, to chodźmy do lamusa rzekł Franek.

—Po co ja mam się z djabłem tarmosić, odpowiedział Teodor.

—Albo to prawda, żeby co po lamusach pokutowało, odpowiedział Franek machnąwszy ręką.

—Aha! mało widziałeś, to gadasz. Kiedyśmy z nieboszczykiem kapitanem byli na wojnie, ho ho! co to było, jak armaty zagrały, to nie jednemu dusza na ramieniu siedziała, ale jak kapitan zakomenderował i zabębnili do ataku, strach był wtedy wielki dla nowych rekrutów, ale dla nas to fraszki.

—Pewno dla was rzekł Franek, coście pieczeń w armatnim ogniu piekli, to niczem było.

—Nie zagadujcie po próżnicy, odezwał się ktoś z pod pieca, bo juścić nasz Paweł co z Napoleonem i Francuzami, wojował przeciw Niemcom, a był nawet i w Moskwie, mówił, że to nie tak straszno jak się człek wezwyczai, i że w kupie, to jakoś każdy śmielszy, a wy zagadujecie, a do lamusa tobyście nie poszli w nocy.

—Oczywiście żebym nie poszedł, i wam radzę nie róbcie głupstwa i nie chodźcie, co to po próżnicy szukać guza.

—Albo to tam djabli straszą, mówił Franek, chcąc wyciągnąć koniecznie kogo z sobą, bo tak sobie myślał, że choćby sam poszedł, i nic strasznego nie zobaczył, to by ludzie mu wiary nie dali, więc potrzebował świadków.

—A znowu Teodor nie chciał zobaczyć straszka, więc wykręcał się jak mógł i tłomaczył wszystkim, że to nawet grzech jest przeszkadzać pokutującej duszy.

—Powiedźcie lepiej prawdę Teodorze, rzekł po chwili Franek, że do lamusa w nocy, to się boicie, i sami iść nie chcecie, i straszycie drugich, żeby nie chodzili, a w lamusie tylko okowita dworska, i wół co się nawet nie rusza, bo na kołkach zarznięty i oprawiony wisi. Kiedyście taki wojak, to wam nie kul, ale kartofli w torbę nakłaść, i rożen zamiast karabina, co sobie dopieczecie te gołąbki, jeśliby niedopieczone były.

—Ba, rzeknie Teodor, że się nie boję to wszyscy wiedzą, a żem więcej widział i słyszał przez dzień, jak ty przez całe życie, to też każdy wie dobrze, ale do lamusa nie pójdę, i was ludzie zaklinam nie chodźcie, bo jeszcze nieszczęście będzie.

—Oto niema kłopotu, rzekł Franek, nie pójdziecie wy, to pójdę ja, Maliniak i Wojtek we trzech, to będzie przecie dosyć.

Teodor widząc, że jego rady i zaklinania nie skutkują, że Franek się uparł, a Maliniak i Wojtek z nim już się mieli do odejścia, nie sprzeciwiał się dłużej i poszedł sam z nimi, lecz przez drogę wciąż odradzał żeby nie chodzić. Lamus stał w ogrodzie, niedaleko dworu, w około rosły krzewy różne, i w nich zaczaili się na stracha. Franek, Maliniak i Wojtek, a Teodor odszedł do domu. Aż tu naraz słyszą, otwierają się ciężkie drzwi lamusa, aż skrzypły na zardzewiałych zawiasach, błysnęło światło w okienkach i cicho. Niedługo, słyszą, jakby coś pod ziemią beczki pobijało.

—Franku, rzekł cicho Wojtek, chodźmy bo zimno!

—Ej bajesz, noc ciepła, nie bój się, słuchaj, to z lamusa ten głos wychodzi, nie z pod ziemi.

Chodźmy ku lamusowi, szeptał Franek i trącił Maliniaka. Podchodzą pod same drzwi otwarte, spoglądają, a tu przy jednym oksefcie ogromnie dużym, stoi coś z latarką, i toczy z okseftu okowitę w małą beczułkę, a w oksefcie coś puka. Widać że sobie strach natoczył pełno, bo zatkał szpunt od oksefta, w którym zaraz pukanie ustało. Oglądają się Franek z Maliniakiem, patrzą a Wojtka nie ma. A tymczasem owe widmo, zawiązało beczułkę w coś białego, jakby w obrus lub pła-

chtę, zarzuciło sobie na plecy, zamknęło drzwi od lamusa, złożyło z siebie owo zawinięcie w krzaki, i poszło ku dworowi.

—To bodaj Tomasz, szepnął pocichu Maliniak, gdy to niby widmo około nich przechodziło.

—A Tomasz, ten co go pan za lokajczyka przyjął, odpowiedział Franek.

—A gdzie Wojtek się podział?

—Ba, gdzie Wojtek się podział? odpowiedział Franek, drapnął ponoś.

—Tomasz, ten niby straszek, szeptał Maliniak, to filut, a sam rozgadywał że straszy.

—A rozgadywał umyślnie, żeby się ludzie bali i nie przechodzili tędy, odpowiedział również pocichu Franek, bo ludzie wierzą lada bajce, co lada łgarz i taki frant jak urlopnik Teodor albo Tomasz gadają, a temu co prawdę gada, to wiary nie dają.

—Juścić teraz wiemy, co znaczy światło w lamusie, bo Tomasz miał z sobą latarkę, ale zkąd to pukanie było, on pewno ze złém trzyma, kiedy tak pukało w beczce.

Nie miał czasu odpowiedzić Franek, bo Tomasz lokajczyk, on to był bowiem, przyszedł po okowitę, zarzucił sobie węzełek na plecy, i maszeruje jakby nigdy nic. A Franek z Maliniakiem do niego:

—A jak się masz Tomaszu, krzyknął Franek, przytrzymując go za kołnierz.

Tomasz w strach, w prośby, a oni nic, trzymają go za kołnierz.

Na drugi dzień, cała wieś dowiedziała się, jak Franek z Maliniakiem złapali Tomasza przy lamusie na gorącym uczynku kradzieży, i jak Wojtek uciekł z zasadzki, dowiedział się i ksiądz proboszcz o wszystkiem, kazał zawołać Tomasza lokajczyka, Franka owczarka i Maliniaka. Tomaszowi obiecał, że go wyprosi u pana od kary, na którą zasłużył, aby tylko powiedział, jak było i przyznał się do wszystkiego. Tomasz zapierać się nie mógł, bo był złapany na gorącym uczynku, a za takąsprawkę, to więzienie czekało, więc przyznał się do wszystkiego, że wieczorem gdy już uspokoiło się na wsi, brząkał kluczem w rądel żeby straszyć ludzi, a klucz brał z kancellaryi, gdzie go pan zawsze wieszał. Sam rozgadywał umyślnie o tem straszeniu, aby się ludzie bali i koło lamusa nie kręcili, że wódkę już nieraz toczył, i oddawał Teodorowi, co za urlopem jest we wsi, a Teodor ją sprzedawał i pieniędzmi dzielili się na współkę.

—Ba... to Teodor dla tego tak odradzał i zaklinał żeby nie chodzić do lamusa, żeby się nie wydało, zawołał Franek.

—Ja to nie mogłem zmiarkować, rzekł Maliniak, ale teraz to już rzecz jasna jak słońce. On miał w tem swój interes.

—On pewno we wszystkim co gada to ma swój interes, i pewno we wszystkiem tak kłamie, odpowiedział Franek.

—Ale niech Tomasz powie, co to w beczce tak pukało, odezwał się Wojtek do księdza proboszcza, on pewno ze złem trzyma, bo tak pukało w beczce.

—Roześmiał się ksiądz proboszcz. Nie ze *złem*, tylko ze *złym* Teodorem, jak słyszeliście trzyma współkę, a to pukanie ,ma też swoją przyczynę, nie żadna współka ze złym duchem. Cóż to pukało? zapytał się ksiądz proboszcz Tomasza.

A Tomasz niby szlochając, odpowiedział, że jak miał toczyć okowitę, nie odbijał górnego szpunta, żeby nie robić hałasu, i dla tego tak pukało, bo jak ulżyć szpunt górny, to nie puka.

Ksiądz proboszcz dopowiedział, że gdy Tomasz toczył wódkę, na jej miejsce wpadało powietrze, tak samo, jak kiedy się naprzykład leje z butelki, to też w butelce puka, i przez szyjkę tak wpada powietrze, że aż bulgocze, tylko że butelka mała, nie słychać tak głośno, a beczka duża, i zapewne nie pełna, więc głośniej pukało. Jak przyjdziecie na czytanie w niedzielę, to wam więcej powiem o tem pukaniu i powietrzu. Ale mniejsza tam o pukanie, lepiej niech wam się zdaje, że djabły i duchy chodzą po świecie, jak żebyście takim djabłom, co w pośród was w dzień stają, i prawią różne baśnie, mieli podawać ucho. Tylko takiemu człowiekowi wierzyć można, którego znacie, że jest uczciwym i dobrym, i nie wygaduje wam kłamstw i łgarstw jak ci, co po świecie pomiędzy obcymi wałęsając się, popsuli w sobie prawdę i cnoty ojców naszych.

Wycieczka do Górnego Szlązka

Huty i fabryki żelazne w Królewskiej hucie, Gliwice.

(Dokończenie)

Miasto Gliwice porządnie jest zabudowane, prawie wszystkie domy ma murowane na piętra, ulice dość szerokie, wiele sklepów różnych towarów, a zwłaszcza wyrobów żelaznych, kilką hoteli, największy pod złotą gęsią. Dwa kościoły katolickie, jeden protestancki, szkołę czyli gimnazyum katolickie, sądy przysięgłych, przędzalnie wełny, folusze i fabrykę sukna, hutę szklanną, ale najważniejszemi są fabryki wyrobów żelaznych, założone w r. 1792, zatrudniające kilkaset robotników.

W jednym z kościołów, który dawniej należał do OO. Franciszkanów, znajduje się w ołtarzu trumna szklanna, w której spoczywają zwłoki Marynusa, ubrane w habit zakonny z twarzą pomarszczoną lecz wcale nie zepsutą, nawet noszącą ślady dawnej piękności, i z rożańcem w ręku.

Podług podania miejscowego, przed laty we wsi Przosowicach niedaleko Gliwic mieszkał włościanin, który po śmierci żony pozostał sam z jedyną córeczką Marysią. Będąc już w wieku podeszłym, a przez różne nieszczęścia utraciwszy całe mienie, postanowił szukać przytułku w klasztorze OO. Franciszkanów, ale stawała na przeszkodzie ta okoliczność, że w żadnym klasztorze męzkim nie wolno znajdować się kobietom, a serce nie pozwalało biednemu ojczysku rozstać się z jedynem dziecięciem. Przebrał ją więc po męzku, a imie jej Marysi zmieniwszy na Marynusa, znalazł schronienie w klasztorze, gdzie kilka lat przeżywszy zakończył życie. Marysię która od wszystkich uważana za chłopca i my Marynusem nazywać będziemy. Posłuszeństwem, uległością dobrocią, i chęcią do nauki, której jej księża udzielali, zjednała sobie miłość, i przywiązanie wszystkich zakonników, nie wyjmując gwardyana.

Gdy Marynus wyrósł i postępując w naukach, okazał chęć wstąpienia do stanu duchownego, przyjęto go do zgromadzenia jako braciszka, i obrano na kwestarza klasztornego. Odtąd poprawiło się położenie zgromadzenia, młody kwestarz taką sobie umiał wszędzie miłość zjednać, że nigdy tyle klasztor nie otrzymywał jałmużn jak obecnie. Ale i na cnotliwego kwestarza Pan Bóg zesłał cierpienie. Niewinnie posądzony z pozorów, które zdawały się świadczyć o jego przewinieniu, wydalonym został z klasztoru. Wezwawszy Boga na świadectwo swej niewinności, przyjął braciszek z pokorą wyrok przełożonych, nie chcąc wyjawić płci swojej. Ustąpiwszy z klasztoru przy pomocy znających go i kochających mieszkańców okolicznych, wystawił sobie pod murem klasztornym budkę z chrustu i gałęzi, gdzie przemieszkiwał z dziecięciem małem, którego opieke przyjął na siebie, i ludzie znosili mu pożywienie; tak przebył tam lat siedem.

Tymczasem w klasztorze zmieniano kwestarzy jednego po drugim, ale jakby wyraźnem zrządzeniem Bożem nie wiodło się, i niedostatek zawitał do klasztoru.— Zgromadzenie wybrało nowego kwestarza ale i tak położenie się nie poprawiało,— jeden z księży podał myśl, aby wygnanego Marynusa sprowadzić na powrót, myśl ta została powszechnie przyjętą, jeżeli bowiem zgrzeszył, to już za to ciężko odpokutował, wyszli więc księża z processyą i znalazłszy w budce modlącego się braciszka, na którym ledwo już trzymał się habit zakonny, tak był zniszczony, prosili go o powrócenie do klasztoru. Z radością przystał Marynus, objął dawny swój urząd, a obfita jałmużna znów jak przed siedmiu laty zaczęła spływać na klasztor, ale nie długo już żył. Po śmierci dopiero dowiedziano się że był kobietą, i ze względu na cnotliwe życie i niepsucie się ciała po śmierci, lud okoliczny uważa go za świętego.

Zboczywszy od przedmiotu dla podania ciekawego i przywiązanego do miejscowego kościoła podania, wracamy do opisu Gliwic, a mianowicie fabryki wyrobów żelaznych.

Pominąwszy piec wysoki dostarczający surowca żelaznego i walcownie szyn żelaznych, jest tutaj ogromny warsztat, w którym wyrabiają walce służące do ciągnienia szyn i koła do machin. Tokarnie są obracane siłą wody; jest także machina parowa o sile 60 koni bardzo starannie a nawet ozdobnie obrobiona, schodki na górę prowadzące z poręczami z żelaza la-

nego w postaci sztachetów bluszczem okręconych, zielono pokostowane, machina ta służy jako dymaczka przy wielkim piecu.

Duży gmach w którym leją różne wyroby żelazne, przedstawia widok jeszcze dziwniejszy niźli w Królewskiej hucie, i prawdziwie przypomina obraz piekła. Wszędzie parno, gorąco, pełno huku, krzyku, łoskotu, usmoleni robotnicy biegają niosąc na łyżkach dużych, albo w kilku razem kociołkach, żelazo roztopione, które do form wlewają, tu się iskry rozbiegają, tam formy rozbierają i wyjmują wyroby już gotowe, tu szlifują. Materyałem którego używają do robienia form jest miałki piasek, w którym, lekko zwilżonym, wygniatają formą pospolicie bronzową lub mosiężną postać żądaną, osobno połowę dolną, którą pokrywają połową górną, i w otwory umyślnie pozostawione leją żelazo roztopione. Po kilkunastu minutach gdy przestygnie, wyjmują z form wyroby, i jeżeli potrzeba, szlifują a następnie pokostują, naczynia zaś kuchenne wewnątrz emaliują czyli polewają, za pomocą szkła czyli polewy, do której składu ołów wcale nie wchodzi.

Przy mnie lano ogromne dzwona do kół od machin, garnki żelazne, ramy do okien, tafle do pieców żelaznych, i t. d.

W składzie (magazynie) znajduje się mnóstwo wyrobów: prócz dwóch sal pełnych garnków, babek, rynek, brytwann, któremi półki od dołu do góry są założone, w dwóch innych pomieszczono same ozdobniejsze wyroby: posągi, krzyże, popiersia, przyciskadła do papieru, kałamarzyki, postumenty, lichtarze, częścią czarno szmelcowane, częścią bronzowane, niektóre z tych wyrobów odznaczają się pięknem wykończeniem. (1)

Droga idąca ku miastu bardzo przyjemna, drzewami obsadzona nad kanałem gliniastym, prowadzącym do rzeki Odry. Na tym kanale stało mnóstwo statków krytych, zwanych pospolicie berlinkami, częścią próżnych jeszcze, częścią obładowanych tutejszemi wyrobami i do drogi gotowych, kilka mostów całkiem z żelaza, przechodzi przez kanał wspomniany.

(1) W Warszawie podobne rzeczy jak w fabryce Gliwickiej wyrabia p. Minter, u którego dostanie mnóstwo pięknych rzeczy, nietylko z żelaza ale i z innych kruszczów, cynków, bronzów i t. d.

Miejsce to w porze letniéj jest bardzo uczęszczanem, i jak Warszawianie w aleach, tak mieszkańcy Gliwic tutaj szukają przechadzki i świeżego powietrza.

Jeszcze do opisu Gliwic dołączę kilka słów o sądach przysięgłych, które właśnie podczas mojej bytności tutaj się odbywały.

Sądami przysięgłych, które w sprawach kryminalnych są najwyższą instancyą, nazywa się rodzaj sądu, w którym ostateczny wyrok: czy oskarżony rzeczywiście jest winnym, lub nie, czy są okoliczności zwalniające jego winę i t. d., wydają nie prawnicy, ale ludzie prywatni zdrowego rozsądku, objawiający zdanie podług głosu własnego sumienia. Sądy tego rodzaju w innych krajach już oddawna zaprowadzone, jak we Francyi, w Anglii, w Prusach, u nas nie są w zwyczaju.

W Prusach członkami sądów przysięgłych są obywatele, urzędnicy, fabrykanci, doktorzy i t. d. Sądy odbywają się w każdym okręgu trzy razy do roku, i trwają za każdą razą 6 do 10 dni, a nawet dłużej, stosownie do liczby spraw, o których wyrok ma być wydanym. Miejscem zebrania jest sala umyślnie na to przeznaczona w ratuszu.

O godzinie 8ej z rana zebrali się członkowie sądowi, to jest prezes, czterech radzców sądowych, prokurator rządowy, dwóch sekretarzy i 26 przysięgłych. Po zajęciu miejsc w ławkach przez tych ostatnich, prezes odczytał ich listę dla przekonania się czy są wszyscy obecnymi, poczém z urny czyli wazonu na stole stojącego, wyciągnął kartki z nazwiskami dwunastu członków, którzy tego dnia mieli swe zdanie wydawać, i jednego jeszcze na zastępcę, w razie gdyby który z dwunastu nagle zasłabł, reszta członków rozeszła się do domów. Każdy z wybranych wykonał przysięgę, jako będzie zdanie dawał sprawiedliwie, radząc się tylko głosu własnego sumienia, poczém wprowadzano z kolei oskarżonych, których sprawę już poprzednio sąd przeprowadził i rozpoznał.

Gdy oskarżeni byli już w sali, sekretarz odczytał protokół sprawy, tym zaś którzy nie rozumieli języka niemieckiego, przetłómaczono cały protokół na polski, poczém prezes zapytywał każdego z nich, czyli ma co przeciwko temu powiedzieć, lub dodać, albo przytoczyć na swoją obronę i t. d. Poczém wprowadzano

po jednemu ze świadków, a gdy ci podali swe zeznania, od niektórych zażądano, aby takowe stwierdzili przysięgą. Jeżeli obwiniony bezwzględnie przyznaje się do winy, wtedy przysięgli nie mają co do roboty, w przeciwnym zaś razie, jeżeli obwiniony się zapiera, albo robi jakie zboczenia, sprawa staje się zawikłaną, i wtedy prezes układa pytania, czy oskarżony jest winnym, czyli nie? czy przestępstwo jego za ciężkie ma być uważaném, czy nie? czy są okoliczności zmniejszające jego winę, czy też ich nie ma wcale? i t. p. Pytania te może prokurator zmieniać, robić zarzuty, na które znów obrońca oskarżonego (każdy więzień ma dodanego obrońcę) odpowiada. Po ułożeniu pytań przysięgli odchodzą do osobnéj izby, gdzie się naradzają i każdy z nich na pytania ułożone przez prezesa daje odpowiedź podług własnego przekonania, poczém wracają, a jeden z nich w imieniu wszystkich powiada, że orzeczono większością głosów lub jednomyślnie, że oskarżony jest winnym, że sa okoliczności zwalniające winę, i t. d. Wtedy prezes otwiera księgę ustaw i wyszukawszy miejsce odpowiednie czyta: że ponieważ Piotr N. albo Paweł K. został uznanym za winnego, tego a tego przestępstwa, przeto podług artykułu 15, 30, 250 i t. d. ustawy, zostaje skazanym na taką a taką karę. Gdy zaś są okoliczności zwalniające, kara ta podług artykułu 16, 31, 251, i t. p. łagodzi się i zamienia na taką a taką. Wyrok tutaj zapadły jest stanowczym, odwołać się można tylko do łaski monarchy.

Niektórzy powiadają, że sądy przysięgłych nie stosowne są dla tego, ponieważ członkowie nie będąc obeznanemi z prawnictwem sądzić nie mogą; ale zarzut ten nie jest słuszny, oni bowiem nie sądzą, tylko wydają zdanie które im zdrowy rozsądek i głos sumienia dyktuje.

Sprawa wydana i rozpoznana już w sądzie zostaje im przez tenże sąd przedstawioną, potem słyszą zeznania obwinionego i świadków, a tak łatwo mogą sobie wyrobić zdrowe zdanie o sprawie.

Przysięgli sami nie sądzą, tylko podług ich uznania przestępstwa, sądzi prawo pisane w kodeksie czyli ustawie. Najbardziéj się zwykle napocą przysięgli w sprawach ważnych o zabójstwo, czy uznać obwinionego winnym bezwzględnie, bez okoliczności zwalniających winę, czy nie, uznanie takie bowiem pociąga za sobą wydanie wyroku śmierci.

Wyrok tego rodzaju od jakiegoś czasu w Prusach nie odbywa się publicznie, ale w gmachu więzienia w obecności sądu, dwóch swiadków przysięgłych, duchownego i lekarza. Takie spełnianie wyroku stósowniejszém jest niż publiczne karanie śmiercią, które zwykle przykre wrażenie sprawia.

Na tem kończymy wspomnienia z wycieczki do Szląska.

Jak się Wojciech Mucha pozbył ciężkiej biedy.

Był sobie gospodarz,
Zwał się Wojciech Mucha;
Człek to był nie wielki,
Lecz wielkiego ducha.

Na oko: Piotrowin—
Trup co zeszedł z mary,
A piszczała dusza
Gdy cię wziął za bary.

Nie trza wam powiadać,
Jakie z biedą zwady—
Jednak sobie z Muchą
Nie mogła dać rady,

Wciąż go nawiedzała,
Nieustanną klęską...
To ogniem, to gradem,
To chorobą cieżką;

Trapiła go ciągle
Pazurem zniszczenia...
Wszystko też co robił,
Szło mu jak z kamienia,

Ale Wojciech Mucha
Miał serce z odwagą,
Co się nie poddaje,
Pod najcięższą plagą.

Jakoż rąk nie spuścił,
Nie stracił ochoty,
Tylko się wciąż żwawiej,
Garnął do roboty.

Zmiarkowała bieda,
Że tak nic nie wskóra—
Że gospodarz Mucha,
Nie tchórzliwy ciura—

Że go od roboty
Nie odstraszą szkody—
Zatem by go zgnębić,
Bierze się do zgody.

Kły w uśmiech zacina,
Długie szpony chowa,
I półgębkiem szepcze,
Słodko — czułe słowa:

„Jestem stara bieda.
Panie Wojcich Mucha,
Cenię ja w Waszeci,
Uczciwego zucha.

Przestanę ci szkodzić,
Ty sfolguj ochocie,
Bo się zapracujesz
W tej próżnej robocie.

Idź sobie odpocząć,
Połóż się gdzie w chłodzie,
Lecz wprzód daj mi rękę,
Żyjmy odtąd w zgodzie.“

Zmiarkował z kolei
Mucha, co się święci...
Że się bieda lisem
Koło niego kręci—

Że go ręką zgody
Chce pod stopy wtłoczyć,
Ażeby mu łatwiej
Mogła na kark wskoczyć.

Więc na czułe słówka,
Mucha uniósł brody,
Rozśmiał się i krzyknął:
Nie ma z biedą zgody!

Tylko ciągła bójka,
Czy w dzień, czy w noc ciemną—
Ha, kiedyś mocniejsza,
To się probuj ze mną!“

Po tych słowach bieda,
Jak ciężka ropucha,
Skoczyła do dołu,
Co go kopał Mucha.

Tam się rozpłaszczyła,
Wskroś żółcią nadęta,
Aby nie mógł ziemi,
Brać pod fundamenta.

Nie żałował Mucha,
Wszystkich sił mozołu,
Żeby tylko biedę,
Wyparować z dołu;

A choć była ciężka,
Nie tracił ochoty,
I coraz się żwawiej,
Garnął do roboty.

Na ostatek kołem
Podważył jej boki,
Ale i ten pęknął,
Niby od opoki.

Potoczył się Mucha,
Padł na dół jak długi,
A na biedę w dole,
Trysły potu strugi..

Syknęła, jak djabeł
W święconej kąpieli,
I wybryzgła duszę
Z zalanej gardzieli.

* *
*

Nieszczęśliwi ludzie!
Pamiętajcież tedy—
Jak się Wojciech Mucha
Pozbył ciężkie biedy.

Pamiętajcież także,
Bo to nie zawadzi,
Co wam na złą biedę,
Tenże Mucha radzi:

„Z biedą, ják z chorobą—
Nia można jej przedać,
Nie można darować,
Tylko trza się nie dać!

Nie można jej zabić
Choć strzał puścisz krocie,—
Ale ją utopisz
W własnej pracy pocie.

Bo czem są dla djabła
Święcone kropelki,
Tem pot ludzkiej pracy
Jest dla biedy wszelkiej.

Od święconej wody
Djabeł się zakrztusi,
Od ludzkiego potu
Bieda przepaść musi.“

Przedpłata wynosi: w Warszawie rocznie złp. 12.— półrocznie złp. 6.— ćwierćrocznie złp. 3.—miesięcznie złp. 1
Na prowincyi, na wszystkich stacyach pocztowych bezkopert złp. 13 gr. 10.
Na prowincyi w kopertach, i w Cesarstwie, w którem przedpłata bez kopert nie jest dozwoloną, oprócz należności zł. 13 gr. 10 za exemplarz pisma, każdy prenumerator dopłaca tytułem kopertowego nie po zł. 13 gr. 10 jak poprzednio, ale tylko po złp. 6 gr. 20 rocznie. Dodaje się przytem, że w jednej kopercie Redakcyi Czytelni prenumerować można po kilka exemplarzy tegoż pisma bez żadnej dodatkowej dopłaty.

W drukarni J. Ungra. — Za pozwoleniem Cenzury Rządowej. — Warszawa dnia 8 Lutego 1863 r.